Świat powieściowy.

Pismo tygodniowe belletrystyczne.

Wychodzi we Lwowie w każdą niedzielę.
Administracja: ulica Grodzickich l. 4.
w drukarni narodowej W. Manieckiego.

Nr. 38.

dnia 21. Sierpnia 1881.

Prenumerata wynosi wraz z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . . . 2 zł.
półrocznie . . . . 4 zł.
rocznie . . . . . 8 zł.

ZDRAJCA.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA W DWÓCH TOMACH

przez Autora „*Marzycieli*“

Tom II.

(Ciąg dalszy).

Porozumiawszy się z tym i owym, utwierdził się w końcu w przekonaniu, że najlepiej będzie, jeżeli stanie przed wyborcami stolicy, gdzie żydzi i pieniądze cudów mogą dokonać. Aby jednak cel zamierzony tem pewniej osiągnąć, zbliżył się zręcznie do wpływowych członków delegacji galicyjskiej, która pod ten czas była we Wiedniu zgromadzona i przyrzekłszy im w razie wyboru wstąpić do Koła polskiego, otrzymał od nich listy polecające. W nich panowie delegaci pisali, że ponieważ Jakób Stern jest dobrym Polakiem i zdolnym finansistą, przeto stolica kraju może go ze spokojnem sumieniem mandatem zaszczycić.

Przyjechawszy na miejsce przeznaczenia, polecił swemu sekretarzowi, by na wieczór tegoż dnia Żylewicza zamówił, sam zaś z wstążeczką orderową w dziurce surduta, poszedł prosto do redakcji *Przyszłości*.

Ryszard u siebie go zobaczywszy, ledwie swoim oczom mógł uwierzyć.

— Niech się pan nie dziwi — rzekł Stern tonem znamionującym człowieka bez wychowania, a siebie pewnego — że aż tu przychodzę, ale zdaje mi się, że czas, abyśmy raz stanęli na czysto.

— Sądzę — Ryszard przerwał — żeśmy już w obec siebie całkiem na czysto stanęli. Mój ojciec, dzięki panu, wyszedł ze Starejwsi bez grosza.

— Czy ja temu co winien, że pan Gozdawa taki gorący? Ja pojechałem na jakiś czas do Wiednia, a on tymczasem wyniósł się nie wiedząc na co i po co... Czy ja jego wypędzał, czy co? A jeżeli Moszko mu dokuczał, to niech pan sam powie, czy mogę ja odpowiadać za takiego paskudnego lichwiarza?

Ryszard gorzko się uśmiechnął.

— Więc pan twierdzisz, że to tylko Moszko mego ojca z jego domu wypędził?

— Pewnie że on.

— Jeźli tak, toć chyba pan teraz przyznasz, że kupno Starejwsi na twoje nazwisko było pozorne, i że jej rzeczywistym właścicielem mój ojciec do dziś dnia pozostał?

Stern w lot zrozumiał, do czego to zapytanie zmierzało. Ryszard wyciągał go na słowo, aby w razie potwierdzenia, mieć przeciw niemu dowód w możliwym procesie o oszustwo.

— Kto panu powiedział, że kupno było pozorne? Przecie ja kupowałem na licytacji, za moje własne pieniądze. Ale mimo żem kupił, nie myślałem pana Gozdawy wypędzać... Gdyby był zechciał, mógł tam do śmierci siedzieć.

— Dziękujemy ci panie Stern, lecz my jałmużny nie przyjmujemy... Dość jednak tego, teraz zechciej mi pan dobrodziej powiedzieć, jakim szczęśliwym okolicznościom zawdzięczam dziś twoją wizytę?

Stern nie domyślił się głębokiej ironji w tych słowach zawartej, ni też patrząc na Ryszarda, z bladej jego twarzy nie umiał uczuć wyczytać, które mu w piersi wrzały.

— Ja tu przyszedłem — rzekł — aby pana ostatecznie przekonać, że podczas teraźniejszych wyborów, wszelka opozycja z pańskiej strony będzie zbyteczna. Ja będę wybrany, bo tak chcę!

— Zobaczymy!

— Czemu zobaczymy? Czy pan myśli, że Jakób Stern na to tylko zbiera pieniądze, żeby je w kasie trzymać? Jak będzie potrzeba, nie pożałuję ani 20, ani nawet 50 tysięcy, i muszę na mojem postawić!

— Że pan pieniędzy nie pożałujesz, o tem chwili nie wątpię, znając bowiem izraelitów, wiem, że ilekroć mogą sobie kupić władzę lub wyższe stanowisko, szafują pieniądzmi bez rachunku... Z tem wszystkiem jednak pozwól sobie powiedzieć, że u nas dzięki Bogu silniejszą od pieniędzy jest jeszcze godność narodowa, i do tej ja się odwołam.

— Jak to? Co to? Więc dla tego żem żyd, pan musisz być zawsze przeciwnym mojej kandydaturze?

— Nie dla tego jestem przeciw panu, żeś żyd, ale z tej prostej przyczyny, żeś żydem liberalnym na wzór wiedeński, a nie innym. Gdybyś pan był rzeczywiście, nie zaś obłudnie, przychylnym memu narodowi, w takim razie bez względu na to, jakie jest moje zapatrywanie na sprawę żydowską, może nawet sam dałbym ci głos przy urnie.. Ale ponieważ tak nie jest, ponieważ pańska kandydatura zamiast korzyści, przyniosła by krajowi tylko szkodę, więc mnie pierwszego będziesz miał między swymi przeciwnikami!

Ryszard był pewny, że po tych słowach, wypowiedzianych głosem rozkazującym, jego gość obrazi się i wyjdzie, a że chciał pożegnania uniknąć, więc ledwie mówić przestał, do okna się obrócił. Stern nie uważał jednak, żeby obraza była dlań korzystną, to też zamiast odejść, do Ryszarda o krok się zbliżył i głosem zniżonym tak przemówił:

— Czemu się pan tak gniewa? Alboż nie można o wszystkiem spokojnie pomówić?... Ja wiem, że takich rzeczy nikt za darmo nie robi... We Wiedniu mówili mi, że *Neue freie Presse* co rok krocie bierze... Przecie ja mam rozum i wiem co to warte.

— Co pan mówisz?

— Cobym miał mówić?... Żylewicz weźmie 20 guldenów, no a pan co weźmie? Tysiąc, dwa, pięć?! Może jeszcze więcej?

Nasz przyjaciel drgnął i całą siłę woli wezwał na pomoc, żeby się przyzwoicie zachować.

— Więc pan myślisz, że mnie można kupić?

— Pana nie... na co by kto pana kupował, ale gazetę... Przecie na świecie wszystko można dostać za pieniądze... Idzie tylko o to, żeby wiedzieć, ile za co dać.

— Żegnam cię panie Stern!

Żyd dopiero teraz zrozumiał, że tą drogą nie trafi do celu, ale że postanowił w walce nie ustąpić, dopóki ostatniego naboju nie wystrzeli, więc głos jeszcze bardziej zniżając, rzekł:

— Jakbyś pan chciał, to i Starąwieś mógłbyś dostać nazad bez długów, i coś jeszcze więcej... Moja Rózia nie raz mi mówiła, że poszła by za katolika... przecie dziś mamy dzięki Bogu śluby cywilne, a co drugi to bezwyznaniowiec... No, a pan moją córkę ponoś także zna...

— Tak jest znam... lecz właśnie dla tego, że ją znam, i mam dla niej najwyższy szacunek, muszę nad nią ubolewać, że ma niestety ojca, który zasługuje tylko na pogardę! Pan dla swego interesu gotów byś nawet własnem dzieckiem frymarczyć... Ale dość już tego, cierpliwość moja wyczerpana, a drzwi tam!

Tu podniósł rękę ruchem rozkazującym. Stern pojąwszy nareszcie co to znaczy, zrzucił maskę i ustami z gniewu sinemi, zawołał:

— Chciałem z panem po dobremu, ale skoro koniecznie chcesz wojny, będziesz ją miał! Przekonasz się pan, co Stern może... Choćby mnie to sto tysięcy miało kosztować, musisz zginąć!

— A więc zginę z przekonaniem, żem żył dla prawdy i spełnił mój obowiązek.

Stern jego słow nie słyszał. Jak opętany wybiegł na ulicę i zatrzymawszy pierwszą dorożkę, kazał się zawieźć do redakcji *Teraźniejszości*.

Pan Wyżyński odczytawszy listy delegatów, przyrzekł poprzeć go całym swoim wpływem. Nie wątpił także, że kandydat, za którym są wszyscy żydzi i całe stronnictwo liberalne, otrzyma znaczną większość.

Tegoż dnia na godzinę przed północą, w małym pokoiku w kawiarni „Pod dziką wroną“ zajęci „płodozmianem“ siedzieli Żylewicz, Stern i Dobrzyński. Ponieważ za dwa dni miało odbyć się przedwyborcze walne zgromadzenie, przeto należało już teraz wszystko obmyśleć i przygotować. Żylewicz uczył kandydata co ma wyborcom mówić, a widząc, że ten dość tępo pojmuje, przyrzekł być u niego nazajutrz i całą mowę mu napisać.

— Co jednak będzie, jeżeli Gozdawa przeciw mnie wystąpi? — Stern zapytał.

— Niech tylko spróbuje, przekona się po

czemu łokieć! Chciałbym przecie raz tego reakcjonistę zobaczyć w jakim miejscu publicznem, aby go na słówko wyciągnąć! Ręczę, że się uwikła i sam zgubi.

— Amen! — dodał garbus.

Na znak jednomyślności wychylili kieliszki i znowu szepcąc radzić zaczęli.

Trzeciego dnia o godzinie 7 wieczorem, do sali, w której odbywały się zgromadzenia przedwyborcze, cisnęli się młodzi i starzy, wyborcy i niewyborcy, aby wysłuchać kandydatów, ubiegających się o wybór do wiedeńskiego Reichsratu. Tym razem było ich tylko dwóch. Stern i jeszcze inny izraelita. Po stronie pierwszego stanęła *Teraźniejszość* z całym obozem liberalnym, po stronie drugiego *Przyszłość*. Obok niej zgrupowali się prócz konserwatystów, także i ci z postępowych, którzy przekonawszy się, że liberalizm wiedeński nie jest zdrowym dla organizmu naszego narodu, postanowili z nim zerwać. Izraelita przez *Przyszłość* popierany, urodził się w kraju i wychował, a pracując rzetelnie jako lekarz, nigdy nie należał do brudnych interesów, w spółkach finansowych nie brał udziału, i do ziemi, która go wydała, szczerze był przywiązany, o nim też śmiało można było powiedzieć, że w Galicji należał do żydów wyjątkowych. Mimo tych przymiotów i mimo rozumu, którym jaśniał, wyborcy żydowscy, uważając go jakby nie swego, stanęli wszyscy po stronie Sterna. Tylko ten był ich ideałem, toć takim jak on, chcieli wszyscy zostać.

Gdy się sala napełniła, tego dnia nawet galerje były nabite, przewodniczący usiadł na podwyższeniu, a zaprosiwszy dwóch sekretarzy, by obok niego miejsca zajęli, zadzwonił. Szmer ucichł. Wszyscy zwrócili oczy na przewodniczącego. Wszyscy z wyjątkiem Żylewicza i garbusa.

Ci, stojąc w ciemnym kącie sali pod kolumną, wpatrywali się w Ryszarda, który siedział w pierwszym rzędzie. Nasz przyjaciel był tego dnia blady, tylko oczy niezwykłym ogniem mu jaśniały. Od czasu do czasu tarł czoło i lewą rękę nieznacznie do serca przyciskał, jakby go tam co bolało.

Przewodniczący wezwał pana Jakóba Sterna, by jako pierwszy kandydat, złożył wyznanie swojej wiary politycznej.

Ten krokiem pewnym siebie wyszedł na trybunę. W tejże chwili kilkanaście osób, rozstawionych umiejętnie w różnych punktach sali i na galerjach, klaskać zaczęło. Stern skłonił się głęboko, a gdy sala się uciszyła, zaczął mówić.

Długa jego mowa, którą wypowiedział poważnie i dobitnie, miejscami nawet z zapałem, nie zawierała w sobie ani jednej myśli nowej, lecz była wiernem i zręcznem powtórzeniem tego wszystkiego, co stronnictwo liberalne od lat 10 w swoich pismach głosiło. Zacząwszy od słów, że „rząd sprzyja krajowi“ gdyż na drodze administracyjnej już nie jedno ustępstwo dla Galicji uczynił, powiedział następnie, że takiemu rządowi należy się poparcie, zwłaszcza, że on kiedyś nawet Polskę zbawi, i dla tego delegacja polska dobrze postępuje, że go zawsze i wszędzie popiera. Przechodząc do spraw krajowych, pan Stern nie taił, że bieda jest ogólna, sądził jednak, że jeżli rząd da koncesje na nowe koleje, które powinne być budowane, w takim razie szlachta i włościanie poprawią swoje finanse, a jeżeli filje banku austro-węgierskiego otrzymają w Galicji wyższą dotację, handel i przemysł także się dźwigną. W razie wyboru, obie te sprawy przyrzekł gorąco popierać. Wspomniawszy jeszcze słów kilka o potrzebie utrzymania konstytucji, którą nazwał najpiękniejszym kwiatem wieku XIX. przeszedł szybko na siebie i zapewniając, że kraj swój kocha całą duszą, zakończył uroczystem przyrzeczeniem, że w razie wyboru wstąpi we Wiedniu do Koła polskiego.

Snać Żylewicz znał wybornie naturę ludzi, przed którymi Stern miał stawać, skoro mowa, którą mu napisał, a której on na pamięć się wyuczył, niezmierny zapał wywołała. Gdy Stern ostatnie słowa wypowiedział, zerwała się taka burza oklasków, że od nich aż szyby w oknach i światła w pająku zadrżały. Zewsząd wołano:

— Brawo Stern! Brawo!

Garbus nie mógł zdobyć się na oklaski. Nachyliwszy się do Żylewicza szepnął:

— Zdaje się, że go wybiorą...

— Niewątpliwie... Przecie to bydło, lada frazesem można ich złapać!

Tymczasem uciszyło się w sali i na trybunie pojawił się jakiś młodzian, który w gorącem przemówieniu popierał kandydaturę Sterna. Po nim inny wystąpił i ten mniej więcej to samo powiedział. Gdy skończył, z wielu stron dały się słyszeć głosy:

— Zamknąć dyskusję! Prosimy o zamknięcie dyskusji!

W tej chwili podniósł się Ryszard.

— Zdaje mi się — garbus szepnął — że Gozdawa chce mówić.

— Prawda... chodźmy bliżej — odrzekł Żylewicz i oko błysło mu ogniem piekielnym.

Ryszard był już na trybunie. W blasku świec gazowych blade jego oblicze od ciemnego zarostu cudownie odbijało; cała postać rysowała się majestatycznie. Ze zgromadzonych rzadko kto go znał; ledwie nieliczni wiedzieli, że to redaktor *Przyszłości*. Kobiety na galerjach, widząc tak pięknego młodzieńca, aby go lepiej zobaczyć, przechylały się aż po za barjerę.

Gdy Ryszard na trybunie się pojawił, w pierwszej chwili zwolennicy Sterna zaczęli psykać, nawet wołać: — Dyskusja zamknięta! — on jednak tem niezrażony, powiódł spokojnie okiem dokoła. Pod wpływem tego spojrzenia, w sali cisza zaległa.

Wtedy powiedziawszy na wstępie, jakie osobiste przymioty każdy poseł mieć powinien, przedewszystkiem niezawisłość i odwagę cywilną, których w kandydacie nie widzi, nigdy bowiem nie uwierzy, by pan Stern miał odwagę zerwać z giełdzistami, którzy robiąc interesa oszukańcze, krajowi naszemu najbardziej tem szkodzą; i nazwawszy przyrzeczenie jego co do wstąpienia do Koła polskiego czczym frazesem, nie raz bowiem kandydaci w rodzaju pana Sterna obiecywali to samo, a potem niedotrzymywali, zakończył temi słowy:

— Ale choćbym się nawet mylił, choćby pan Stern ani „gründerskich“ interesów nie robił, ani jednego posiedzenia Koła nie opuścił, to i w tym jeszcze razie musiałbym być przeciwnym jego kandydaturze, gdyż wyraźnie nam powiedział, że pragnie sojuszu z Niemcami i przez Austrję chce Polskę zbawić. Panowie! ze światem germańskim nie ma dla nas sojuszu! Jagnię z wilkiem zbratać się nie może! Niemcy nas chcą pożreć, a więc bronić się przeciw nim, nie łączyć się z nimi. Komu sumienie inaczej mówi, ten niech głosuje na Jakóba Sterna!

Krótkie te słowa jak piorun podziałały. Ci sami ludzie, którzy bili brawo Sternowi za to, że przyrzekał iść z centralistami, zaczęli klaskać w dłonie i wznosić okrzyki na cześć tego, który odważnie zawołał, że świat germański zgubę nam niesie.

Przemówienie Ryszarda wszyscy za naturalne uważali. Od dłuższego już czasu przebąkiwano w Austrji o potrzebie złamania Niemców-centralistów i zastąpienia ich autonomistami, który by Słowianom, do monarchji należącym, większą sprawiedliwość wymierzyli. Mowca występował więc dla tego przeciw Sternowi, że ten nie oświadczył się za autonomistami.

Tak wszyscy myśleli z wyjątkiem Żylewicza, a może i garbusa, którzy podczas mowy Ryszarda coś z sobą szeptali...

Gdy w sali gwar przycichł, Żylewicz postąpił do trybuny i głosem wyzywającym zawołał:

— Kiedy szanowny mowca jest przeciw Niemcom, z którymi bądź co bądź losy nasze w Austrji związane, to może zechce powiedzieć, z kim nam iść radzi?

Ryszard ujrzawszy o dwa kroki przed sobą Żylewicza, doznał wrażenia jakby spotkał węża jadowitego. Wszakże przezwyciężywszy w sobie niechęć, odpowiedział:

— Kiedy ludy germańskie łącząc się w jedno państwo, chcą żyć życiem własnem, odrębnem, toć chyba i nam powinno być wolno żyć wespół z innymi Słowianami! Zachód już się starzeje, teraz kolej na ludy słowiańskie, a pierwszym rzędzie na nas, którzy między niemi mamy światła najwięcej! Kiedy Hus konał na stosie, a jego wyznawcy przed naszym monarchą czołem uderzyli, prosząc, by ich bronił od Niemców i stanąwszy na czele Słowiańszczyzny zakreślił państwu szerokie granice, wtedy ci, którzy w Polsce tego samego pragnęli, mieli dla narodu prawdziwie zdrowy program polityczny! Zwyciężyło atoli stronnictwo przeciwne i Polska runęła... Dziś po czterech wiekach czas znowu pomyśleć, że jako Słowianie mamy ze Słowiańszczyzną wespół pracować, a nie o Austrji marzyć!

W sali wszyscy oddech wstrzymali, jak po piorunie. Jeden Żylewicz nie stracił przytomności. Jak zwierz dziki rzucił się na trybunę i rękę do Ryszarda wyciągając, zawołał:

— Precz z tego miejsca zdrajco! Odkąd polski język w tem mieście rozbrzmiewa, pierwszy dopiero raz się zdarzyło, że Polak odważył się mówić o Słowiańszczyźnie, po za którą Moskwa stoi i to dziś, gdy cały naród wierzy, że Austrja nas zbawi! To już nie odstępstwo, to zdrada!

— Zdrada! — krzyknęli zgromadzeni jak z jednej piersi. — Precz ze zdrajcą!

— Panowie! — usiłował Ryszard przemówić.

— Cicho! Precz! Za drzwi ze zdrajcą! Niech tego miejsca nie kala!

Ci, co dotąd siedzieli, porwali się ze swoich krzeseł; jedni nogami tupali, drudzy laskami bili

o posadzkę, a każdy z pełnej piersi krzyczał, groził i złorzeczył.

Wśród tej wrzawy, napróżno przewodniczący dzwonił i zaklinał. Nikt go nie słyszał. Nagle zaczyna się uciszać, potem ktoś w dłonie klasnął, i w tejże chwili cała sala znowu brawo bije.

Na podwyższeniu obok trybuny, zjawił się Henryk Dobrzyński. Biedny garbus widząc, w jak okropnem położeniu znajduje się Ryszard, zapomniał o swojej nienawiści i usłuchawszy podszeptów lepszego ducha, rzucił się ku trybunie by go wesprzeć. Widok postaci tak potwornej rozweselił widzów i ztąd owe brawa.

— Panowie! — krzyknął głosem dyszkantowym — nie sądźcie zbyt porywczo, bo się mylić możecie! Któż z was zaręczy, że polityka pana Gozdawy jest w rzeczy samej zgubna dla kraju...

— Precz z nim! Precz! — zawołał ktoś w tłumie.

— Taka sama polityka krzywa jak i ty! — dał się słyszeć głos drugi.

Nowe śmiechy, brawa i oklaski, po tem krzyki jeszcze gwałtowniejsze:

— Za drzwi z ostępcami! Śmierć zdrajcom!

Ryszard stał blady jak ściana. Na jego ustach igrał uśmiech gorzki, a tak boleśny, że sam jego widok do głębi przejmował. Nie usiłował się już usprawiedliwiać, ani nawet mówić, bo i na cóż by się to zdało? Gdzie wrażenie rozstrzyga, tam słowa najrozumniejsze są bez wartości.

Przewodniczący pragnąc uniknąć większego skandalu, szepnął mu do ucha:

— Niech pan wyjdzie, bo gotowo przyjść do jakiej sceny...

Uznał radę za słuszną. Opuścił tedy trybunę i krokiem wolnym ku drzwiom postąpił. Kilku młodych ludzi wzięło go między siebie... Tak wyszedł.

Był już na wschodach, a za sobą słyszał jeszcze głosy:

— Odstępca! Zdrajca! Musiał wziąć ruble!

Po scenie tak gwałtownej, dalsze rozprawy okazały się niemożliwe. Zgromadzeni zaczęli więc tłumnie salę opuszczać i jedni poszli do żon i dzieci, drudzy rozsypali się po restauracjach i kawiarniach. Garbus zginął gdzieś w tłumie, a Żylewicz rozprawiając głośno z kilku przyjaciółmi, pociągnął tego wieczoru wcześniej niż zwykle „Pod dziką wronę“.

Stern do hotelu zdążając, coś sobie mruczał pod nosem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

HISTORJA PARYŻANKI

najnowsza powieść Oktawjusza Feuillet.

(Ciąg dalszy).

Pani de Lerne mieszkała na ulicy Montaigne. Na przejazd kilka minut wystarczyło. Po drodze w słowach urywanych, obznajomiła Joannę z bliższemi szczegółami przyczyny pozornej pojedynku, kto służy za świadków, jaką broń wybrano, o której godzinie i gdzie się spotkać mają... Było około pierwszej po północy i Jerzy kończył właśnie ostatnie rozporządzenia, gdy nagle osłupiał, widząc otwierające się drzwi od biblioteki, a przez nie wchodzącą panią de Maurecamps.

— Ah! mój Boże! — wykrzyknął. — Pani! Czyż to możebne!

— Tak... Dowiedziałyśmy się o wszystkiem, pańska matka i ja — wyrzucała Joanna słowa bez związku, cała zadyszana — przyjechałam... chciałam przyjechać... i oto jestem!

— Moja matka także!... — szepnął. — Ach! co za męka!... Jaka nieprzyjemność... Ależ droga przyjaciółko, po coś tu przybyła?... Gubisz się!...

— Wiem o tem dobrze! — jęknęła boleśnie upadając na krzesło najbliższe — musiałam cię jednak widzieć jeszcze!

W głos zaszlochała.

— Moja pani najdroższa... moje biedne dziecię — przemówił słodko biorąc ją za rękę — uspokój się, błagam o to, i wracaj czemprędzej do siebie... bądź przekonaną, że ten pojedynek, który cię tak przeraża, na niczem się skończy... Między ludźmi, którzy umieją trzymać szpadę w ręku i są prawie równej siły, pojedynek jest po prostu ćwiczeniem bez znaczenia.

— Ah! — szepnęła. — On tak ciebie nienawidzi!

Łzy ją dusiły.

— A więc wszystko skończone... skończone na wieki!... Boże! Boże! Jaka niesprawiedliwość! jaka niegodziwość!

— Moje dziecię najdroższe — zaczął znowu — oddal się, proszę usilnie... nie chciałabyś zamącić mi spokoju, tak mi potrzebnego w ostatniej chwili, nieprawdaż?... Powiedz również mojej matce, iż ją błagam, aby była rozsądną .. że niema cieniu niebezpieczeństwa... ani cieniu... skoro raczy zostawić mi zimną krew i całe moje zastanowienie.

— A więc dobrze — rzekła powstając — żegnaj mi! żegnaj!...

Zatrzymała się przed nim.

— Kochaliśmy się z duszy całej, nieprawdaż?

— Tak moje dziecię najdroższe, tak!

Patrzyła mu w oczy przez chwilę w milczeniu, wreszcie pociągając go cokolwiek ku sobie.

— Oh! bardzo, bardzo! — powtórzyła.

A podając mu śliczną główkę.

— Pocałuj mnie w czoło!... — szepnęła — aby

jeżeli masz umrzeć, ten twój pocałunek pierwszy i... ostatni... został mi przynajmniej na pamiątkę!

Dotknął się ustami jej czoła i podtrzymując omdlewającą ramieniem, wyprowadził z pokoju, aż do pierwszych stopni schodów.

— Jak najprędzej wracaj do siebie! — powtórzył znowu, obie jej dłonie szybko do ust przyciskając.

I tak się rozeszli.

XIII.

Pani de Maurecamps wróciła natychmiast do siebie, odprowadzona przez hrabinę de Lerne. Nieobecność jej krótko trwała. Służba nie widziała w tem nic nadzwyczajnego i krok jej nierozważny nie doszedł do męża wiadomości.

Strudzona i złamana tyloma tak gwałtownemi wrażeniami, usnęła nad ranem, gdy nagle zbudził ją hałas i ruch nad jej głowami. Usłyszała kroki przyspieszone, łoskot głuchy szuflad i kufrów, otwieranych i zamykanych; zrozumiała, iż jej mąż, wraz z lokajem, wybiera się w drogę czemprędzej. — Trochę później, zadudniało po bruku dziedzińca, potem w bramie i na ulicy koła zaturkotały. — Odjechał.

Wstała. Głowa jej płonęła. Otworzyła jedno z okien, które na ogród wychodziło i sparła ramiona na niem. Niebo, obłoki, mury, listki świeżo rozwinięte, wszystko przybierało w jej oczach kształty dziwne i fantastyczne; słuchała jakby we śnie gromadki wróbli, wesołym szczebiotem witających jutrzenkę różową, zapowiadającą piękny dzień wiosenny.

Wyrwała się z tej ponurej zadumy, aby pójść do syna i dopilnować, jak to co dzień robiła jego wstania i rannego ubioru. Przedłużała ile mogła te zwykłe zajęcia, aby jak najdłużej łudzić się, iż stan rzeczy jest naturalny i codzienny.

W miarę jak godziny leniwo się wlokły, jej samotność, niepokój śmiertelny, który ją ogarniał, stały się nie do zniesienia; zdecydowała się wreszcie matkę zawezwać. Jej serce szlachetne, wahało się, nie chcąc z matką dzielić tego dnia pełnego udręczeń, czuła jednak, że zmysły się jej mięszają. W kilku słowach uprzedziła o wszystkiem panią de Latour-Mesnil i przez posłańca list odesłała.

Jeżeliśmy przestali wspominać o matce Joanny w dalszym ciągu powieści, to z tej prostej przyczyny, iż czytelnik mógł się sam wszystkiego domyśleć. Kilka słów zresztą wystarczy, aby zapełnić tę próżnię — oto pani de Latour-Mesnil umierała powoli, na ów los świetny, który córce zgotowała. Cierpienia wątroby, skomplikowane z jakiemiś atakami na serce, bardzo bolesnemi, mocno jej życiu zagrażały. — Daremnem było, iż Joanna nie tylko wymówek, ale nawet zwierzeń jej szczędziła. Była ona zanadto kobietą i matką, za wiele sama w życiu przecierpiała, aby łudzić się co do tej smutnej prawdy i nie mogła darować sobie nieszczęsnego zaślepienia i próżności, która wtrąciła jej córkę w stosunki małżeńskie, gorsze jeszcze, niż było niegdyś jej własne pożycie. Niektóre matki pocieszają się w nieszczęściu — że się tak wyrazimy — urzędowem córek, szczęściem tychże na drodze nielegalnej, na które patrzą, lub się go przynajmniej domyślają; pociech w tym rodzaju nie mogła jednak doświadczać kobieta, jak pani Latour-Mesnil i jeżeli co dodawało jej boleści i zaostrzało wyrzuty, które sobie czyniła, iż wydała córkę na łup niedoli, na którą nie było lekarstwa, to obawa śmiertelna, iż może jednocześnie na hańbę ją skazała. Była pod tym względem w straszliwej niepewności i jedyny dzień szczęśliwszy, w tym czasie zaznany, odbył się niedawno, gdy córka, odczuwając matki niepokój, co do jej stosunków z panem de Lerne, rzuciła się tejże na szyję, wołając:

— Widzisz mamo, jak cię ściskam serdecznie!... Czyżbym cię tak całowała, czując się występną?... Nie śmiałabym z pewnością!

Pani de Latour-Mesnil, odebrawszy bilecik Joanny, który przyniósł jej pierwszą wieść o pojedynku pana de Maurecamps z panem de Lerne, przybyła do córki około południa. Biedne kobiety, więcej łez, niż słów zrazu zamieniły.

Po pierwszem wylaniu, Joanna uczuła jednak pewną ulgę, odpowiadając na mnóstwo pytań matce, w opisywaniu tejże przyczyny pozornej starcia, wypadku na balu, sceny, którą z mężem przeszła, do domu powróciwszy i wreszcie szalonej swojej wycieczki do Jerzego.

Gdy tak rozprawiała, wyrzucając słowa z szybkością gorączkową, to biegając po pokoju, to na chwilę przysiadając, nie odwracała prawie wzroku niespokojnego, od skazówek zegara, który stał na kominku. Wiedziała iż spotkanie nastąpi o trzeciej godzinie. W miarę jak się zbliżała chwila złowroga, stawała się coraz więcej rozdrażnioną, ale i więcej milczącą jednocześnie; przyspieszała kroku, twarz jej szkarłatem pałała, usta poruszały się bez dźwięku, tylko od czasu do czasu, wyrywały jej się wykrzyki bez związku, dziecinnne prawie.

— Oh! mamo moja!... biedna moja mamo!... co za okrucieństwo, jaka nikczemność... jaka niesłuszność... jaka niesprawiedliwość!... Boże mój!... Boże!...

Matka przerażona jej stanem, bliskim szaleństwa, wstała, starając się przerwać bieg jej myśli:

— Chodź dziecię do twojego pokoju, chodźmy się modlić!

— Modlić się mam matko?! — krzyknęła z gniewem prawie. — I za kim chcesz, żebym się modliła? za moim mężem, czy za tamtym?... Czy moja modlitwa ma być obłudną... czy chcesz, aby była świętokradztwem?

— Ah! módl się o łaskę dla twojej biednej matki, która tak bardzo przebaczenia potrzebuje! — zaszlochała pani Lautor-Mesnil, zsuwając się przed córką na kolana i twarz dłońmi zasłoniwszy.

— Moja matko! moja matko najdroższa! — porwała ją z ziemi Joanna, tuląc do piersi namiętnym uściskiem — cóż ja mam ci darowywać? Czyż nie oszukano mnie razem z tobą?

— Ah! tobie, to było wolno!... ale nie mnie, nie mnie!... Byłam twoją matką... twoim doradcą, twoim przewodnikiem, przeszłam przez szkołę życia. Ah! jak byłam występną! jak niegodziwą, iż lepiej dla ciebie niewybrałam!... Tak byłaś warta szczęścia, moje dziecię najdroższe!... Taką byłaś zacną kobietą i oto gdziem cię zawiodła!

— Ależ ja nie przestałam być kobietą uczciwą, moja mamo — odrzuciła Joanna z roztargnieniem.

Nagle palec wyciągnęła, wskazując matce zegar. Pani de Latour-Mesnil zobaczyła, iż wskazówki trzecią pokazują. — Dziwny uśmiech zaigrał na zbladłych i drżących ustach Joanny. Ujęła matkę pod ramię i przechadzała się z nią powoli, w ponurem milczeniu. Wzdychała tylko ciężko, od czasu do czasu.

W kilka minut odezwała się wreszcie:

— Wszystko skończone zapewne; w sprawach podobnych, panowie zwykli być nadzwyczaj punktualni i ma to trwać nader krótko, jak utrzymują... co jest najstraszniejszem, to to, że się o niczem nie dowiemy, jak dopiero za kilka godzin... Zrobiłam coś, moja mamo, czego może nie pochwalisz... do kogoż jednak miałam się udać, aby mieć jakieś wiadomości? Nie mogłam przecie czekać do jutra, a pan de Maurecamps, ma się rozumieć, o niczem mi nie doniesie... Prosiłam więc Ludwika, starego, poczciwego sługę pana de Lerne, który z nim na miejsce pojechał, aby do mnie telegrafował, jak będzie mógł najprędzej.

Pani de Lautor-Mesnil zrozpaczona, odpowiedziała li skinieniem głowy, które różnie można było tłumaczyć.

W tej chwili usłyszały dzwon w sieniach, który miał styczność z lożą odźwiernego. Ponieważ służba cała miała dnia tego najsurowiej nakazane, aby nikogo nie przyjmować, to zapowiedzenie wizyty, niezmiernie zdziwiło obiedwie kobiety.

— Czyżby już? — szepnęła Joanna, szybko postępując do okna, które na dziedziniec wychodziło. — Już!... ależ to niemożebne!...

Odsunęła firankę i poznała w wstępującym na stopnie kamienne ganku, nauczyciela szermierki, a raczej fechmistrza sławnego, pana Lavaréde, który przychodził co dni kilka, bić się na floret y z baronem. Nadzwyczaj dumny ze swojej wprawy w szermierce, pan de Maurecamps, oprócz częstszego odwidzania sal fechtunkowych, lubił ćwiczyć się w domu jeszcze, może, aby nie zdradzać publicznie, wszystkich wybiegów gry swojej.

Pojawienie się tego człowieka, wśród myśli zajmujących Joannę i jej matkę, zdziwiło je i zaniepokoiło. Po cichu rozmawiały o tem jedna z drugą, gdy wszedł lokaj.

— Pan de Lavarède, fechmistrz — zameldował — nie wiedząc, że pana barona niema w domu, przyszedł na zwykłą godzinę fechtowania; pyta się, czy pan baron jutro powróci i czy ma przyjść pojutrze.?

— Powiedz, iż nic nie wiem — odrzekła Joanna. — Poszle się po niego.

Służący wyszedł. — Po chwili namysłu, zawróciła go młoda kobieta.

— Auguście — zawołała tonem rozkazującym — chcę mówić z panem Lavaréde... Poproś go do sali jadalnej na dole... Zejdę natychmiast.

A obracając się do pani Latour-Mesnil rzekła:

— Chodź ze mną mamo. Chcę pomówić z tym człowiekiem... potem zejdziemy do ogrodu... powietrze świeże orzeźwi nas trochę... Tak pięknie dzisiaj... chodź!...

Podała matce ramię i razem weszły na salę, gdzie na nie czekał mężczyzna czterdziestoletni, wyglądający sztywnie i ostro, niby długoletni wojskowy, przebrany w suknie cywilne.

— Chciałam widzieć się z panem — przemówiła głosem drżącym i z pewnem wahaniem pani de Maurecamps — mąż mój odjechał dziś rano do Belgji... pan zdajesz się nie wiedzieć, co tę podróż spowodowało?

— Nic nie wiem pani baronowo.

— Służba nic panu nie powiedziała?

— Nie pani.

— Może sami nieświadomi tej sprawy... wszystko przyszło tak nagle. A więc! powodem do tej podróży, pan domyślasz się go zapewne?... musisz pojmować o co idzie, po okropnym niepokoju, w którym zastajesz mnie i moją matkę. Kiedy ja tu z panem rozmawiam, pan de Maurecamps ma pojedynek.

Fechmistrz odpowiedział jedynie wyrazem lekkiego zdziwienia i niskim ukłonem.

— Panie! — zaczęła na nowo Joanna, a słowa jej wychodziły z ust coraz mniej wyraźne i z coraz większą szybkością — rozumiesz naszą trwogę śmiertelną... czyż nie możesz powiedzieć coś na nasze uspokojenie?

— Pani baronowa raczy darować, aleczy nie mógłbym wiedzieć, kto jest przeciwnikiem?

— Przeciwnikiem jest hrabia de Lerne.

— Oh! w takim razie — uśmiechnął się fechmistrz znacząco — myślę, iż możesz być pani zupełnie spokojną.

— Spokojną?... dlaczego?... — spytała.

— Hrabia de Lerne, widzi pani — tłumaczył fechmistrz — był jednym z naszych gości codziennych, niemal do niedawna... znam jego siłę doskonale... bił się wcale nie źle i byłby mógł sprostać w walce z panem baronem... odkąd jednak został ranny w pojedynku z panem Monthélin, stracił bardzo wiele... męczy się prędko i dla mnie jest to niewątpliwem, iż pan baron musi go zwyciężyć. Dla tego więc utrzymuję, iż pani możesz być spokojną...

— A więc — wtrąciła Joanna po krótkiej pauzie — sądzisz pan, iż zabije hrabiego de Lerne?

— Oh! zabić... niekoniecznie... ale zrani go na pewno, lub mu szpadę z ręki wytrąci... co jest najprawdopodobniejsze... szczególniej, jeżeli powód do sprzeczki nie miał ważnej podstawy.

— Koniec końców — bąkała młoda kobieta, coraz więcej zmięszana — pan sądzisz... jesteś przekonany...

iż nie mam się czego obawiać... dla męża mojego... że... że... on... nie może być zraniony?...

— To niepodpada najmniejszej wątpliwości pani baronowo.

— Dobrze... dziękuję... żegnam pana...

Powiodła za nim oczyma, póki nie zniknął z dziedzińca, a porywając gwałtownie rękę matki w swoje dłonie:

— Oh! mamo, mamo! — rzekła głucho — czuję, że staję się występną!

Drzwi szklanne sali, na ogród wychodziły. Matka z córką weszły tamże i zmierzały ku ławeczce otoczonej krzakami bzu, który kwitnąć zaczynał. Zaledwie usiadły obok siebie:

— Moja mamo — odezwała się Joanna — po tem, co ten człowiek powiedział, gdyby go zabito... byłoby to proste morderstwo!...

— Moje dziecię, moja córko najdroższa, uspokój się, błagam cię usilnie!... taką mi boleść sprawiasz, oh! taką wielką boleść!... Zresztą, to, co ten człowiek powiedział, powinno raczej wlać w serca nasze otuchę... bo przecież twój mąż nie jest potworem, a między ludźmi honoru, są rzeczy niemożebne. Jeżeli istotnie panu de Lerne zostało w ramieniu jakieś cierpienie... jeżeli męczy się łatwo...

— Tak jest! — Joanna przerwała — sama to nie raz spostrzegałam.

— A więc — kończyła matka — twój mąż musiał to również zauważyć i co najwięcej szpadę mu z ręki wytrącił.

— Ah! moja mamo.... on go tak niecierpi!... on nas oboje tak straszliwie nienawidzi!... a potem... on niema w sobie iskry szlachetniejszej... on jest zły, bardzo zły!

Jednak przywiązała się do tej myśli, do tej nadziei, którą jej matka poddawała. Tak, to było dość prawdopodobne. Pan de Maurecamps, bądź jak bądź, był człowiekiem honoru, według zdania świata całego... nie chciałby nadużyć sił nierównych... Zresztą, jadąc, musiał sobie przypomnieć wszystko, co mu żona wczoraj powiedziała... zastanowił się nad tem z krwią zimniejszą, przybył na miejsce, przekonany o jej niewinności — przez pół uspokojony — mniej zemsty pragnący...

Czuła również w całem otoczeniu wpływ dobroczynny, uspakajający, oddziaływała na nią błogo cichość uroczysta tego ogrodu, odgraniczonego od reszty świata murem wysokim, klasztornym, to powietrze czyste, ten błękit nieba, ta woń upajająca, ta słodycz wreszcie dnia wiosennego, gdy ma się ku wieczorowi. — Wyobraźnia łączy z trudnością obrazy scen krwawych i gwałtownych z pogodą cudowną, a tak obojętną na wszystko, natury i zdaje się tym, którzy oddychają powietrzem wiejskiem, lub których otacza powaga majestatyczna ogrodów, iż spokój błogi musi na całem świecie panować, skoro w koło nich, tak cicho i tak spokojnie.

Czas mijał zresztą, a nie przynosząc nowych wstrząśnień, łagodził dawniejsze wzruszenia. Joanna i jej matka, trzymały się za ręce w milczeniu i doznawały obiedwie, po gwałtownych przejściach dnia tego, rodzaj odrętwienia, które im nieledwie przyjemność sprawiało.

Piąta minęła, gdy Joanna zerwała się nagle — usłyszała znowu uderzenie dzwonu w sieniach.

— Teraz... z pewnością! — zawołała.

Chwilka przelotna ubiegła. — Joanna i jej matka stały wyprostowane, z oczyma wlepionemi w drzwi od sali. — Służący pojawił się na progu, z tacą w ręku.

— Depesza dla pani baronowej — rzekł tonem urzędowym.

— Daj tu! — Joanna postąpiła szybko ku niemu.

Czekała aby odszedł, a trzymając w ręku depeszę nierozpieczętowaną, patrzyła na matkę.

— Pozwól mi ją otworzyć! — szepnęła pani de Latour-Mesnil, wyciągając rękę po telegram.

— Nie — potrząsła główką młoda kobieta z uśmiechem męczennicy. — Nie bój się! Znajdę na tyle odwagi!

Rozdarła niebieską kopertę. — Zaledwie okiem na depeszę rzuciła, papier z rąk jej wypadł, oczy w słup stanęły, usta zadrgały konwulsyjnie, rozkrzyżowała ramiona, wydała krzyk przeraźliwy, który odbił się echem w całym pałacu i padła bez życia u nóg matki.

Podczas gdy cała służba zlatywała się na ten krzyk złowrogi, pani Latour-Mesnil przerażona, uklękła obok córki, a wśród starań, których jej udzielała, z gorączkowym pospiechem depeszę podjęła.

Oto co w niej wyczytała:

„Soignies $3\frac{1}{2}$ godzina. Pan Jerzy, raniony śmiertelnie, skonał w tej chwili. Ludwik“.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ORDYNAT.

PRZEKŁAD Z NIEMIECKIEGO

przez Helenę Wilczyńską.

(Ciąg dalszy.)

Radca nieraz się już zrywał i oświadczył stanowczo, że dłużej tak wyjątkowego stanu nie wytrzyma. Nic mu jednak ta żywa protestacja nie pomagała; to też wyglądał z utęsknieniem chwili ślubu, aby raz przecie odetchnąć.

Wesele miało odbyć się nieodwołalnie w drugi dzień Bożego Narodzenia, a państwo młodzi, wyprawiwszy całemu sąsiedztwu świetne przenosiny, mieli w Ettersberg zamieszkać.

W małym saloniku, gdzie zwykle, gdy nikogo z obcych nie było, cała rodzina w Ettersberg się zbierała, przed objadem hrabina matka siedziała z książką na kanapie, którą czytała, a przynajmniej czytać się zdawała; Jadzia zaś, która znowu, jak teraz często się zdarzało, przybyła na dłużej, stała w oknie, patrząc w dal z pewnym niepokojem.

Zima już od połowy listopada, rozpostarła w tym roku swoje wszechwładne panowanie. Jak okiem zasięgnął biało i biało, a do masy śniegu, która już leżała, ciągle jeszcze nowy dolatywał. I dziś śnieżna zamieć ziemię z niebem łączyła, tak że o trzy kroki żadnego przedmiotu rozpoznać nie można było.

— Edmund dotąd nie wraca! — przerwała wreszcie Jadwiga głuche milczenie, które dość długo w salonie panowało. — Kto też widział na taki czas konno wyjeżdżać!

— Wiesz przecie — odezwała się cicho hrabina oczów od książki nie podnosząc — że Edmund co dzień to czyni.

— Tak! teraz... dawniej jednak był bardzo drażliwy na złe powietrze. W taki czas, jak dzisiejszy, byłby pewno nosa za drzwi nie wytknął. Od dwóch blisko miesięcy ma szczególne upodobanie uganiać po świecie, na wyścigi z burzą i wichrami.

W słowach tych ciężka troska się odzywała. Hrabina znowu zamilkła. Drżącą ręką kartkę po kartce odwracała, ktoby jednak był się jej z uwagą przypatrzył, mógł łatwo dostrzedz, że ani słowa dotąd nie przeczytała. Jadwiga odeszła od okna, a zbliżywszy się do kanapy, w te słowa przemówiła:

— Czy nie znajdujesz mamo — tak już od dnia zaręczyn hrabinę nazywała — że Edmund dziwnie się zmienił w tych ostatnich miesiącach?

— W czem?

— We wszystkiem!

Hrabina podpierając czoło na dłoni, przysłoniła oczy i znowu nie odpowiedziała. Radaby była widocznie uniknąć tej rozmowy, co atoli nie zgadzało się z Jadzi życzeniem.

— Pragnęłam dawno pomówić o tem z tobą mamo otwarcie — zaczęła po krótkiej chwili. — Muszę ci wyznać, że zachowanie Edmunda nie tylko mnie zaczyna niepokoić, ale nawet czasami przeraża! Zupełnie nie podobny do tego, jakim był dawniej. Tak drażliwy, tak zmienny, w każdym kierunku, nawet w swojej dla mnie czułości. Raz zrywa się gwałtownie i radby choćby tej godziny ślub przyspieszyć, to znowu zapada w dziwną apatyczną obojętność, jakby mu to zupełnie wszystko jedno było, jakby sobie nawet nie bardzo życzył połączenia ze mną.

— Nie trwoż się dziecię — odezwała się wreszcie hrabina tonem, który miał działać uspakajająco, a mimo to brzmiała w nim gorycz i ból źle ukrywany. — Ciebie on zawsze kocha i dawną miłością otacza. Myślę, iż to sama odczuć powinnaś. W ostatnim czasie zmienił się, to prawda; jest trochę rozstrojony, ale bo też niczyje siły nie wytrzymałyby tych ciągłych polowań, obiadów i balów! Ty sama, choć tak bawić się lubisz, nieraz czułaś się zmęczoną i zdenerwowaną, życiem do zbytku ruchliwem.

— Połowie zaprosin, byłabym chętnie odmówiła — Jadwiga odrzekła prawie ze łzami. — Edmund jednak nalegał, aby wszystkie przyjąć. Od września gonimy formalnie za zabawami, z balu na bal, z wizyty na wizytę, a jeżeli kiedy nadejdzie szczęśliwa chwila, w której spodziewamy się odetchnąć i odpocząć cokolwiek, oho! już Edmund wpada z nowym projektem, lub nowych gości nam sprowadza. Wygląda to, jakby nie mógł z nami godziny wytrzymać, tak tutaj, jak i w Brunneck, jakby każda chwila bez obcych spędzona, męczarnią była dla niego!

Rysy hrabiny kurczowo zadrgały. Nibyto dla wygody, w pół leżąc, odwróciła twarz na drugą stronę, od światła.

— Dzieciństwo! — zaśmiała się hrabina sucho i nerwowo. — Co ci też za dzikie myśli przychodzą do głowy! Edmund lubił zawsze namiętnie życie towarzyskie, a ty dawniej przepadałaś za tańcem i zabawami. Od ciebie najmniej oczekiwałam słów skargi w tym względzie. Mogłabym więc i ciebie zapytać, z jakiego powodu tak się twój gust odmienił?

— Bo lękam się o Edmunda! — wyznało dziewczę z całą otwartością — bo widzę, że i on się przymusza tylko, chociaż z taką namiętnością szuka coraz nowych rozrywek. W jego udanej wesołości, jest taka dzikość, tyle goryczy, że mnie nie raz patrząc na niego serce sciska się boleśnie. Nie grajmy ze sobą komedji, nie oszukujmy się nawzajem. Niepodobna żebyś i ty matko tej zmiany nie miała uważać, i tak samo, a nawet więcej niż ja, o Edmunda się nie troszczyła.

— Cóż pomoże moja troska, moja trwoga śmiertelna! — hrabina ciężko westchnęła. — Czyż Edmund pyta się o to!

Prędko jednak zmiarkowawszy, że dała się unieść żalowi za daleko, dodała zmuszając się do zimnego spokoju.

— Ty sama, moje drogie dziecię, będziesz musiała nauczyć się lawirować po burzliwem częstokroć morzu pożycia małżeńskiego. Nie tak to łatwo idzie z Edmundem, jak to sobie może wyobrażałaś w samym początku twojego z nim poznania. Miewa on nieraz dziwnie zmienne humory. Kochacie się wzajemnie, a miłość, to mistrz najlepszy! Dostroi ona wasze serca do jednego kamertonu i ty nie wątpię poradzisz sobie jakoś z Edmundem. Ja ci w niczem pomocną być nie mogę. W ogóle nie chcę się mięszać pomiędzy was i dla tego zaraz po waszym ślubie do Schönfeld się przenoszę.

Ton lodowaty, jakim te słowa były wymówione, nie tylko okazywał chęć przerwania rozmowy, był nawet jakby napomnieniem, że w ogóle wszczynać jej nie trzeba było. Nie pierwszy to raz czuła się Jadwiga tym tonem dotkniętą i odtrąconą, skoro próbowała zbliżyć się do przyszłej świekry z serdecznem zaufaniem. Od owej ostatniej rozmowy z Oswaldem, wiedziała jaką ma w matce Edmunda niebezpieczną rywalkę. Teraz jednakże coś innego odzywało się w tym tonie pełnym goryczy, nie sama zazdrość o narzeczoną. Że między matką a Edmundem coś zajść musiało ostatniemi czasy, o tem Jadwiga była najmocniej przekonaną, jakkolwiek oboje starannie przed nią tę zmianę

w stosunkach ukrywali. W pierwszych chwilach jej narzeczeństwa, matka tak despotyczną władzę nad synem rozciągała. Wcale nie tając się z wpływem, jaki na syna wywiera, nie chciała o tem ani słyszeć, aby Jadwidze miejsca odstępować. Skądże się dziś wzięło to zapewnienie „że Edmund nic sobie z matki nie robi“ — i ta abnegacja, tak niezgodna z charakterem hrabiny, z którą zrzekała się niejako wszelkiego mięszania się w ich sprawy domowe.

Żywo rozmawiając, obie panie nie zauważyły konia galopu, cokolwiek wprawdzie przez grubą warstwę śniegu przygłuszonego. Obróciły się dopiero, gdy drzwi z trzaskiem otworzono, a na progu młody hrabia się ukazał.

Wierzchnie futro i czapkę zrzucił już w przedpokoju, na włosach tylko znać było dotąd białe płatki śniegu, a twarz mocno zaogniona, świadczyła o dzikiej i męczącej jeździe, którą właśnie zakończył.

Wszedł szybko, porwał gwałtownie narzeczonę w ramiona i wycisnął na jej czole długi, namiętny pocałunek. Mimo tej czułości, odezwała się do niego Jadzia, tonem pełnym wyrzutów:

— Gdzież tak długo bawiłeś Edmundzie? Gdyby zawierucha była się wcześniej zerwała, nie byłabym ci z pewnością jechać pozwoliła!

— Chcesz że mnię widzieć zniewieściałym! Lubię pasjami z burzą iść w zawody!

— Odkąd że to? Gdym cię poznała, lubiłeś wiosnę i dni słoneczne.

— Wtedy! — potarł czoło. — Odtąd wiele się zmieniło!...

Wolnym krokiem zbliżył się do matki i lekko dotknął się ustami jej ręki. Nie było także dawniejsze, czułe powitanie, ów pieszczotliwy, prawdziwie dziecięcy uścisk, którym przyciskał matkę do serca, ustami jej ust szukając. Dziś stało się zadość synowskiej powinności, lecz nadto ani na włos cieńki nie dodał. Co więcej, wyminął fotel, który stał pomiędzy matką a narzeczoną, i usiadł obok Jadzi po drugiej stronie na krześle. W jego ruchach, w jego całem zachowaniu, był jakiś niepokój, jakieś nerwowe rozdrażnienie, z którem się dawniej nigdy nie zdradzał. To samo odczuwało się w jego rozmowie. Z dziwną szybkością przerzucał się z przedmiotu na przedmiot, na żadnym się nie zatrzymując, jakby go żaden właściwie nie zajmował.

— Jadwinia była bardzo o ciebie niespokojną — wtrąciła hrabina.

— Niespokojną o mnie? — wybuchnął Edmund śmiechem nerwowym. — A tobie co się śni Jadziu? Czyś się bała, żeby mnię wicher nie zdmuchnął?

— Nie! Lękam się jednak twojej dzikiej jazdy w taki czas! Posuwasz teraz często nieostrożność do szaleństwa!

— Jeszcze czego nie stało! — Sama przecie jesteś zapaloną amazonką i nigdy podczas naszych konnych przejażdżek, najmniejszego strachu nie okazywałaś.

— Gdy ze mną jedziesz, jesteś rozważniejszym, ale gdy sam się puszczasz, lecisz doprawdy „z burzą w zawody,“ a to w końcu mogłoby się stać niebezpiecznem.

— Bah! — niebezpiecznem! — machnął ręką pogardliwie. — Mnie się niebezpieczeństwo nie ima. Na to możesz liczyć jak na cztery tuzy!

W słowach tych nie było już owej buty młodzieńczej, owej pewności niczem nie zachwianej, że los musi usłać różami szczęścia drogę jego; że przeszkody i kolce usunąć z tej drogi potrafi. Raczej brzmiała w nich jakby skarga bolesna, jakby dzikie wyzwanie tego losu przekornego, który go tak cudownie ochraniał. Matka podniosła powoli przymknięte powieki, obrzucając syna spojrzeniem ponurem i pełnem srogiej wymówki. Nie zdawał się jednak zwracać na to uwagi i dodał od niechcenia:

— Może do jutra powietrze na lepsze się odmieni. Oczekuję kilku panów na polowanie. Zapewne dziś już nadjadą.

— Nie dalej jak przed dwoma dniami, zgromadziłeś całe sąsiedztwo na polowaniu w Ettersberg, a pojutrze zapowiedziałeś polowanie w Brunneck — Jadzia wtrąciła z minką nader kwaśną.

— Czyś nie kontenta z tych zaprosin? — zaśmiał się Edmund. — Ach! zapomniałem prosić naprzód moich pań o łaskawe pozwolenie! Istotnie, jestem niepocieszony, żem mógł popełnić podobną niegrzeczność!

— Jadzia ma słuszność — odezwała się hrabina. — Za wiele wymagasz od nas, a wreszcie i twoje siły temu nie podołają. Tygodnie mijają, a my jeszcze dnia jednego nie odetchnęłyśmy swobodnie, bez wizyt, gości, i coraz nowych projektów. O jakże bym rada znaleść się już raz w cichym Schönfeld i tam w samotności zupełnej odpocząć po tym wirze rozrywkowym, w którym każesz nam się wiecznie obracać.

Niedawno jeszcze temu, wspomnienie o bliskiem rozłączeniu, byłoby wywołało ze strony Edmunda gorące prośby, i zapewnienie uroczyste, że bez matki żyć nie potrafi... dziś milczał. Jednem słowem przeciw projektowi nie zaoponował, nawet nie wymówił matce, że tak jej spieszno Ettersberg opuszczać.

— Mój Boże! — zwrócił się do Jadzi, jakby słów matki nie słyszał. — Nie zobaczycie tych panów, aż wieczór przy stole. Cały dzień będą w lesie.

— I ty z nimi! — westchnęła narzeczona. — Miałyśmy błogą nadzieję, że przynajmniej jutro będziemy cię miały wyłącznie dla siebie.

— Ach! jakże to brzmi pochlebnie! — zaśmiał się Edmund nerwowo. — Ależ doprawdy ja ciebie nieporaznaję Jadwiniu. Zmieniłaś całą naturę. Dawniej nie spostrzegałem w tobie tej romantycznej skłonności, do życia cichego, rodzinnego. I nawzajem cię spytam: „Odkąd że to stałaś się takim odludkiem i tak samotność ukochałaś?“

— Odludkiem nie jestem, tylko mnie ten ciągły tartas straszliwie męczy!

Istotnie w głosie i całej postaci młodego dziewczęcia. czuło się wielkie znużenie.

— Jak można w latach ośmnastu męczyć się światem i rozrywkami — znowu zaśmiał się Edmund sucho i zaczął po dawnemu droczyć się i przekamarzać z narzeczoną. Był to istny ogień krzyżowy żarcików i czułości, lecz i w tem olbrzymia różnica zachodziła. Nie była to owa prawie wyuzdana wesołość, w której jednak młody hrabia potrafił być tak serdecznym, tak ujmującym sobie każdego. Jadwiga miała słuszność zupełną. W dzisiejszem jego usposobieniu było coś dzikiego, chorobliwego, śmiech był o wiele za głośny i dziwnie nerwowy, aby mógł być prawdziwym, żarty zmieniły się w kłującą ironję, a dawna wesołość, w szyderstwo. Boleśnie było słuchać i patrzyć na niego.

Stary Eberhardt wszedł do salonu, z oświadczeniem, że posłaniec gotów jest jechać do Brunneck. Na te słowa zerwała się Jadwiga, aby napisać jeszcze niektóre dyspozycje, tyczące się polowania, na pojutrze zapowiedzianego. Skoro się za nią drzwi zamknęły, Edmund do drugich drzwi się zbliżył.

— Czy chcesz także mówić z posłańcem? — spytała matka.

— Tak mamo. Chcę aby w Brunneck zapowiedział, że pojutrze o dziesiątej rano na pewno tam będziemy.

— Właśnie o polowaniu poszła pisać Jadwinia, więc nie potrzebujesz ty o tem mówić z posłańcem.

— Jak mama rozkaże! — młody hrabia zawahał się na progu, niepewny czy wyjść, czy usiąść napowrót.

— Nie śmiałabym rozkazywać — odrzekła hrabina. — Skoro jednak Jadwinia ma wrócić za kilka minut, myślę, iż mógłbyś zostać tę chwilę ze mną i nie wyszukiwać tak mozolnie powodów, do opuszczania salonu.

— Przecież ja nigdy... — zaczął Edmund, urwał jednak w pół słowa, spotkawszy się znowu z matki wzrokiem bolesnym, palącym, którego tymrazem nie mógł pominąć.

— Nigdyś tego niewypowiedział — dokończyła hrabina. — Prawda mój synu! Ja jednak widzę i sercem odczuwam, jak stronisz odemnie. I teraz nie byłabym cię zatrzymywała, ale mam prośbę do ciebie. Daj pokój tym ciągłym polowaniom, tym rozrywkom, temu dzikiemu po polach i górach harcowaniu. Tem się zabijasz! Już nie mówię o mojej trwodze śmiertelnej... na moje uczucia najmniejszej nie zwracasz uwagi — ale i twoja narzeczona, nie da się dłużej oszukiwać, tą sztuczną wesołością. W czasie twojej nieobecności, musiałam wysłuchać całego szeregu skarg, jak ją zaniedbujesz i jak jest o ciebie niespokojną.

Mówiła na pozór spokojnie. a jednak w tym drżącym głosie tyle było ukrytej boleści, że Edmund zbladł i oparł się o stół, przy którym matka siedziała.

— Przecież mi nic nie brakuje! Pocóż się tak niepokoicie? — rzekł z cicha, oczów na matkę nie podnosząc.

Hrabina zamilkła; po drganiu ust kurczowem i ciężkiem westchnieniu, które się z jej ścienionej piersi wykradło, można było poznać jak mało wierzy w to zapewnienie.

— Istotnie, życie nasze obecnie jest pełne hałasu i zajęć rozmaitych. Uspokoi się jednak, skoro Jadzia stale w Ettersberg osiądzie.

— A gdy ja się z niego ustąpię! — uzupełniła hrabina z goryczą niewymowną. — No! to już za kilkanaście dni nastąpi!

— Wyrzut twój niesprawiedliwy mamo. Czyż ja kiedy na twój wyjazd nastawałem? Czyż ty sama nie oświadczyłaś stanowczo, że chcesz po naszym ślubie w Schönfeld zamieszkać?

— Bo czuję, że tak dalej żyć nie możemy! — matka rozpaczliwie ręce załamała. — Jesteś okropnie rozdrażniony Edmundzie! Nie wiem do czego by przyszło, gdyby nie małżeństwo z Jadwinią. Może jej się powiedzie wpłynąć na twoje usposobienie, zrobić cię szczęśliwszym i... spokojniejszym. Jej dotąd kochać nie przestałeś, w tej miłości jedyna moja nadzieja! Co do mnie, wiem, że już nic u ciebie nie znaczę!

Załkała głucho. W tych słowach, w tem wyznaniu tak dziwnem w ustach kobiety, która niedawno z dumą utrzymywała, iż nie wątpi, że serce syna do niej wyłącznie należy, było tyle serdecznej boleści, że Edmund zadrżał do głębi i pełen skruchy wziął matkę za rękę:

— Daruj mamo! Nie chciałem cię zmartwić i zranić, z pewnością nie chciałem! Miej wzgląd na moje nieszczęśliwe usposobienie.

Dawna czułość w głosie jego się odezwała. To wystarczyło, aby biedna matka o wszystkiem zapomniała. Podniosła ramiona, jakby chciała syna do piersi przycisnąć; ten jednak jakby przed widmem o krok się cofnął; po chwili, widząc straszliwą bladość matki, która była bliską zemdlenia, inaczej się namyślił. Wziął matki rękę i do ust drgających przycisnął.

Nie raz już podobne sceny powtarzały się, a nieszczęśliwa matka dotąd nie mogła uwierzyć, że wraz z szacunkiem i miłość dla niej w sercu syna zagasła.

— Uczyń, o co cię proszę! — wyszeptała siły zbierając. — Oszczędzaj się dla Jadwini, dla waszego wspólnego szczęścia.

Wstała by odejść. Na progu jeszcze się wstrzymała. Może syn ją zatrzyma? Daremna nadzieja! Nie drgnął, nie ruszył się z miejsca, oczów nie podniósł za odchodzącą.

Dopiero gdy drzwi się zamknęły, zerwał się ruchem gwałtownym, i patrzył przed siebie wzrokiem błędnym i dzikim. Wreszcie podszedł ku oknu i oparł czoło rozpalone o zimną szybę.

Skoro ujrzał się samotnym, spadła z twarzy maska wesołości, a natomiast w rysach jego drgających konwulsyjnie, rozsiadł się wyraz rozpaczy tak ponurej. tak przerażającej, że wszelkie trwogi matki i narzeczonej, okazały się aż nadto uzasadnionemi. Straszne musiały to być myśli, które snuły się po głowie młodzieńca i wpijały się, do żmyi podobne, w serce jego, gdy tak uporczywie wpatrywał się w śnieg coraz gęściej

leżący, jakby zazdrościł ziemi, że usypia tak spokojnie, pod tym śmierci całunem. Tak w tych myślach utonął, że nie słyszał wcale, gdy weszła jego narzeczona. Dopiero, gdy tuż koło niego, zaszeleściała powłoka sukni jedwabnej, odwrócił się szybko, drgnął jakby nagle ze snu zbudzony i zmuszając się do tonu obojętnego:

— Ach to ty Jadziu? — spytał. — Czyś była łaskawa donieść tatkowi o naszem przybyciu pojutrze?

Jadwiga zaledwie przez sekundę dostrzegła na twarzy narzeczonego wyraz prawdziwy, uderzył ją jednak jak światło olśniewające błyskawicy; to też zamiast odpowiedzieć wprost na jego pytanie, oparła się pieszczotliwie na jego ramieniu i rzekła cichutko:

— Co tobie jest Edmundzie?

— Mnie? Ależ nic wcale! Irytuje mnię tylko szkaradne powietrze, które nam nic pomyślnego na jutro nie obiecuje. Znam ja nasze góry! Będzie to najmniej trzydniówka. Jutro wśród mgły i zawieji, trudno będzie co w lesie na krok od siebie rozpoznać.

— To daj pokój temu polowaniu! I tak nie sprawia ci ono najmniejszej przyjemności!

Edmund zmarszczył groźnie czoło.

— Dla czego? — spytał tonem podrażnionym.

— Raczej jabym powinna zwrócić się do ciebie z tem pytaniem. Dla czego w niczem nie znajdujesz przyjemności, coś dawniej lubił i co cię dawniej cieszyło? Czyż się nigdy nie dowiem, co cię tak dręczy i tak ci straszliwie dolega? Powinnabym mieć pierwsza prawo do tego!

— Ależ to formalna inkwizycja! — zawołał Edmund, znowu ostrym śmiechem wybuchając. — Jak możesz brać tak do serca chwilowe rozstrojenie i zły humor, niepogodą spowodowany! Ty bo teraz przy każdej okazji przybierasz ton elegiczno-tragiczny! Gdybym ja tak jeszcze chciał ci w nim wtórować, zrobiła by się z nas wkrótce para ckliwo sentymentalna, a wiesz przecie, że u dzisiejszego świata na wskroś realnego, sentymentalność rymuje ze śmiesznością.

Jadwiga odwróciła oczy łez pełne. Czuła się boleśnie dotkniętą. Nie pierwszy to raz zbywał Edmund ostrym sarkazmem, jej chęć gorącą zbadania, co go tak boli i co mu tak dolega. I tutaj, jak u hrabiny, dawano jej do poznania, że trudzi się daremnie i żadnych zwierzeń nie wywoła. Zdawało się, jakby tak syn, jak matka, woleli śmierć ponieść, niż oddać w czyje ręce klucz od tej zagadki.

Co się to w ogóle zrobiło z tej pary narzeczonych, tak niedawno jeszcze promieniejących szczęściem, osypanych przez los wszelkiemi darami, jaśniejących młodością i urodą. Gdzież się podziały owe chwile, kiedy z zuchwałą pewnością patrzyli w przyszłość, śmiali się i żartowali ze wszelkich przeszkód, z czarnych chmur gniewu rodzicielskiego, gromadzących się nad ich głowami, ufając na pewno, że chmury pierzchną, a słońce przebaczenia musi otoczyć ich skronie jasną szczęścia aureolą! Za wcześnie, za wcześnie, poznali oboje całą grozę życia i prosto z dziecinnych niemal igraszek, przeszli do smutku i powagi, jakby już szron starości zmroził im serca i siwizną włos przypruszył. U młodej dziewczyny był to cień złowrogi, zasłaniający przed nią wszelką jasność słoneczną; u Edmunda płomień straszny, pożerający, który piekło całe rozniecał w jego głowie i sercu, który niby kata żelazo rozpalone, wyciskał piętno hańby na jego czole, niewidzialne dla innych, ale nie mniej boleśnie odczute przez niego. Ten ból ciągły, okropny, robił go tak dzikim, tak nieprzystępnym i niesprawiedliwym nawet dla najbliższych.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

DZIENNICZEK ZE ŚWIATA.

PO ANGIELSKU.

Do podróżującego po Szwajcarji francuzkiego małżeństwa, przyłączył się anglik.

W drodze młodą małżonkę zaczęły gwałtownie boleć zęby...

Nareszcie przybywają wszyscy troje do Genewy i spieszą do dentysty, który bolący ząb wyrywa.

Anglik każe sobie pokazać ząb, a obejrzawszy go dokładnie, mówi:

— Nie było potrzeby wyrywać go, ja byłbym panią z łatwością wyleczył.

— A skądże pan możesz to wiedzieć? — odpowiada młody małżonek.

— Jestem dentystą.

— I pan nic o tem nie mówiłeś i nie robiłeś nic, by żonę moją uwolnić od bolu?

— Od trzech tygodni wycofałem się z interesu — odrzekł anglik flegmatycznie.

AFISZ.

Mamy przed sobą dość zabawny afisz z 22 października 1820 roku.

Afisz zapowiada „sztuki magiczne, fizyczne i optyczne, jako to: wino zamienione w kwiaty, zegarek stłuczony w moździerzu, a potem do pierwotnego przywrócony stanu i t. d.;“ które będzie miała zaszczyt okazać prześwietnej publiczności pani *,*.

Afisz kończą następujące słowa:

„Gdy podobne widowisko od dawna wyłącznie należy do mężczyzn, mam przeto nadzieję, że szanowna publiczność raczy się licznie zgromadzić, aby ujrzeć to, czego żadna kobieta przed tak świetnem zgromadzeniem nigdy nie pokazała.“

WDOWA.

Młoda i piękna wdowa przechadzała się w stroju żałobnym, ale... z dość wesołą twarzą.

— Nieszczęśliwa przed dwoma tygodniami dopiero straciła swojego męża — zrobił ktoś uwagę.

— Wygląda jednak bardzo wesoło.

— Nic dziwnego, korzysta z miesiąca miodowego swojego wdowieństwa...

☞ *Do dzisiejszego numeru dołączamy w nadzwyczajnym dodatku arkusz 3. najnowszego dramatu Mieczysława Schmitta pod tytułem: „Biała gołąbka.“*

Redakcja.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: W. Maniecki.

BIAŁA GOŁĄBKA

DRAMAT W CZTERECH AKTACH

napisał MIECZYSŁAW SCHMITT.

(Ciąg dalszy).

AKT II.

Scena przedstawia ogródek odgraniczony od ulicy małemi sztachetkami z furtką. Po lewej stronie mały domek, po prawej budynek z napisem „szkoła.“ Koło domu z lewej kilka drzew i kanapka z darni. Kwiaty i krzewy dokoła. Widok wprost na krajobraz górski.

Scena I.

LEONIA siedzi na ławce i czyta, później JAZOWSKI.

LEONIA (czyta),

Głuche cierpiących jęki, śmiech ludzki nieszczery,
Są hymnem tego świata — a ten hymn posępny,
Zbłąkanemi głosami wiecznie wniebowstępny,
Wpada między grające przed Jehową sfery,
Jak dźwięk niesfornej struny. Ziemia ta przeklęta,
Co nas takim piasturki spiewem w sen kołysze.
Szczęśliwy kto się w ciemnych marzeń zamknął ciszę,
Kto ma sny i o chwilach prześnionych pamięta!...

(mówi) Kto ma sny... i o chwilach prześnionych pamięta... Szczęśliwy!... O, nie, raczej stokroć przeklęty!... (po chwili) Kto się w ciemnych marzeń zamknął ciszę! Ale dlaczegoż ta cisza taka złowroga... Czemu te złote sny raczej przejmują grozą, obawą... a te marzenia przywodzą to biedne serce do rozpaczy! (wstaje) Czemu?... (patrzy na góry). Czemu te góry wzbijają się aż pod grające przed Jehową sfery, a czemu ten wątły kwiatek podnosi tak dumnie swą główkę, jak gdyby urągał ich wielkości?... (urywa kwiatek) Fiołek! Biedny kwiatku (przypatruje mu się) z wiosennem słońcem wznosisz główkę woniejącą... Wystrzelasz z zimnej jeszcze ziemi... a za nim się ociepli, już i umrzeć ci wypadnie!... Umrzeć!... (po chwili) Lecz zkąd te smutne myśli (ogląda się) Jakiś niepokój mnie trawi... (po chwili) Pewnie z czytania. Tak... nie mogę, nie powinnam czytać... Nie... nie... nie będę... Muszę się zająć czemś innem (patrzy dokoła) A... jeszcze nie podlewałam kwiatów (bierze koneweczkę i zaczyna podlewać).

JAZOWSKI (wychodząc z domku).

Co też ty czynisz? Jeszcze rosa nie oschła a już podlewasz kwiaty.

LEONIA (stawiając koneweczkę).

Prawda!..

JAZOWSKI (patrząc na nią).

Leonio, tyś taka blada...

LEONIA.

Blada?.. Zdaje się tak ojcu (całując go w rękę) Trochę jestem może tylko podobna do tych kwiatków. Zimno mi od porannej rosy, a słoneczko mnie jeszcze nie ogrzało.

JAZOWSKI.

Nie wychodź tak rano i ubieraj się cieplej.

LEONIA (uśmiechając się).

Ojciec bierze więc na seryo moje słowa?...

JAZOWSKI.

Wiem, żeś przywykła do naszego tu powietrza, ale ostrożność nie zawadzi... Czytałaś pewnie jak zwykle?

LEONIA.

Nie mogę czytać. I chciałam cię właśnie prosić byś pozamykał wszystkie książki pod klucz...

JAZOWSKI.

A klucz dał tobie do schowania. Nie moje dziecko. Niech będą tam gdzie są. To nasz skarb cały, a ani ty, ani ja nie jesteśmy skąpcami, byśmy go chcieli ukrywać przed naszemi i drugich oczyma. Lecz możeśmy byli zanadto szczodrzy, możeśmy zanadto szafowali tym skarbem. A po zbyt hojnem użyciu, następuje zniechęcenie... przesyt...

LEONIA.

Czy by się to objawiało pewnem roztargnieniem, a wtedy myśli się tak nie wiążą... plączą...

JAZOWSKI (biorąc ją za rękę).

A gdyby tak było?...

LEONIA (z niepokojem).

Więc prawda?... Czytam za wiele.

JAZOWSKI.

Nie.

LEONIA (żywo).

Ojcze!... Nie?...

JAZOWSKI.

Nie!... Inna jest tego przyczyna...

LEONIA (z przestrachem).

Inna!... (smutnie) A więc jakaż by być mogła?

JAZOWSKI.

Dziecko, nie jesteś ze mną szczera. Podejrzenia moje zmieniły się już w pewność. Dla czego ta ciągła zwłoka z Karolem. Nie chcesz porzucić starego ojca?... Ależ Leonio, czyż odjedziesz za morza?... Czyż szczęściem twem nie będę i ja szczęśliwy? Czyż kochając męża, przestaniesz kochać twego ojca?...

LEONIA.

Nigdy!... Lecz ojcze cóż spiesznego?

JAZOWSKI.

Wiesz zresztą, że kocham Karola jak syna... więc dla mnie to uczyń i nie bądź dlań prawie niesprawiedliwą.

Przed kilku tygodniami obiecałaś mu już, iż ślub wasz odbędzie się wkrótce, a teraz...

LEONIA.

Toż się i teraz nie cofam... ale...

JAZOWSKI.

Nie moje dziecko, dalej tak być nie może. Karol czynił mi znowu wczoraj wyrzuty. A są mi one tem boleśniejsze, iż nie mogę mu nawet brać tego za złe. Leonio — za chwilę ma tu przyjść jak zwykle... Ułóżcie więc już dzisiaj dzień stanowczy i niechaj błogosławi wam Najwyższy (całuje ją w czoło i odchodzi do szkoły).

LEONIA (sama)

A ja myślałam że czytam za wiele... (po chwili) Nie... nie... ja Karola kocham... tak Karola... (zamyśla się).

Scena II.

LEONIA, KAROL

KAROL (wchodząc furtką).

(n. s.) Po raz ostatni już tu przychodzę... (głośno) Leonio, śmiej się ze mnie... Wczoraj powiedziałem ci, że już nie wrócę...

LEONIA (otrząsając się z zadumy).

To ty Karolu?...

KAROL.

Tak... ja... Lecz dlaczegoż się nie śmiejesz?... Powiedziałaś przecież wczoraj „Toż to się będę śmiała, gdy powrócisz".

LEONIA.

Karolu... czy się na mnie gniewasz?

KAROL.

Chociażbym i chciał... nie mogę.

LEONIA.

Wiem, tyś dobry... Ale widzisz mam taką dziwną naturę... Raz jestem wesoła... taka wesoła, że prawie nie wiem sama co mówię... To znowu, tak mi tęskno, smutno... a wtedy chciałabym, żeby mnie wszyscy kochali i przebaczali...

KAROL.

Czyż tak nie jest... Przecież cię kocham, niepotrzebuję więc i przebaczać... Nie wiem sam, ale taka mnie do ciebie ciągnie siła, że doprawdy, zdaje mi się, iż prędzej bym mógł umrzeć!...

LEONIA (przerywa).

Ach... umrzeć... Nie powtarzaj tego wyrazu... On taki brzydki... straszny... Lecz Karolu dlaczego jesteś tak smutny... Ot, usiądźmy na naszem ulubionem miejscu (siada na ławce) Tu nam tak dobrze, tu przemarzyliśmy tyle chwil szczęśliwych. Tutaj, możemy też pomówić i o tem... co... będzie...

KAROL.

Leonio moja... Gdybyś wiedziała, z jakiem upragnieniem oczekuję tej chwili naszego połączenia!... (siada i bierze ją za rękę) Gdy jestem przy tobie, tom szczęśliwy i niczego więcej nie pragnę. Ale gdy ztąd odejdę i znajdę się pośród czterech ścian mego pustego domu... wtedy Leonio... jestem bardzo biedny. Jakieś dziwne myśli... niepokój... obawa, to znowu szalona złość miota mną jak opętanym... Leonio... Ulituj się ty nademną...

LEONIA.

Karolu, mówisz tak, jak gdybym była, lub chciała być złą dla ciebie... Świadczę się Bogiem że... (urywa).

KAROL.

Dla czego urwałaś... Mów... czy mi już i słów żałujesz...

LEONIA.

Czyż ci ich skąpię... (figlarnie) Może nieraz i za wiele mówię, a wtedy w duszy radbyś bym zamilkła. Ale ja by ten wiatraczek kręcący się za lada podmuchem wiatru plotę... i plotę bez końca (nagle poważnie i szybko) Lecz czy ty wiesz Karolu, że źle jest mówić za wiele. Wtedy nie ma się czasu myśleć... Niebaczne słówko łatwo się wyrwie i lecąc w świat brzęczy złowrogo, a ludzie złośliwi, podchwytują je, podnoszą, nadają znaczenie i słowo takie stanowi nieraz o naszem całem życiu!...

KAROL (z niepokojem).

Leonio, ja twych słów nierozumiem...

LEONIA (patrząc nań).

Nierozumiesz?...

KAROL (ponuro).

I to... nie po raz pierwszy... Lecz mów jaśniej...

LEONIA.

Mówiłam bez myśli... Czyż mnie nie znasz... Jestem igraszką chwili... O! gdybym mogła być inną... gdybym... (szybko) Karolu, ja ciebie kocham, ale widzisz boję się sama siebie... Pytam się ustawicznie, czym warta twojej miłości, czy zdołam ci ją odpłacić taką samą... i...

KAROL.

Leonio!... Ty mnie chyba nie kochasz!...

LEONIA.

Kogoż bym więc kochała...

KAROL.

A więc nie zwlekaj dalej, bądź raz moją...

LEONIA (szybko)

Będę... Dzień sam oznacz!...

KAROL.

O, moja droga... Więc już stanowczo?... A więc chociażby i jutro!...

LEONIA (jakby bezwiednie)

Jutro...

KAROL.

Jestem tak szczęśliwy, że nie wiem sam co mówię... (smutnie) Tak prędko jest to niemożebne. Potrzeba prawie dwóch tygodni. A więc od dzisiaj za dwa tygodnie!

LEONIA.

Tak, dobrze, od dzisiaj za dwa tygodnie.

KAROL.

Jakim to mówisz tonem?

LEONIA.

Jakim... Tym samym co ty... To oddźwięk twego... i jabym może pragnęła...

KAROL (namiętnie)

Leonio moja... teraz dopiero widzę jakim skarbem dla mnie będziesz. Dzisiaj dopiero czuję jaka jest twoja miłość. Droga!... niechaj Bóg, który nas słucha, będzie świadkiem mojej przysięgi, że od tej chwili każde twoje słowo będzie mi świętem a wiara w ciebie ustanie chyba z mem życiem!

LEONIA (jakby przelękniona).

O, jak ty mnie kochasz!...

KAROL.

O tak, kocham, i nigdy kochać nie przestanę a ten pocałunek (całuje ją w czoło) uważaj za przysięgę w obec Boga wyrzeczoną.

Scena III.

Ci sami, ARTUR.

ARTUR (wchodząc furtką).

Przepraszam panią że...

LEONIA (wstając szybko).

Pan hrabia (oddaje ukłon) tak rano?

ARTUR (oddając ukłon Karolowi który usuwa się nieco w głąb zły.)

Nie musi być zbyt wcześnie, skoro zastaję już tu gościa. Zresztą przychodzę z wesołą nowiną. A z dobrem potrzeba się spieszyć...

LEONIA.

Zapewne chcesz się pan widzieć z ojcem... Jest w szkole... mogę jednak...

ARTUR (spoglądając niechętnie na Karola przerywa).

Niech się pani nie trudzi. Nowina ta dotyczy wyłącznie pani.

LEONIA.

Mnie?

ARTUR.

Tak Przyszedłem uprzedzić panią, iż ciotka moja dała się nareszcie przekonać, że wszyscy ludzie są ulepieni z jednakowej gliny i przyjdzie dzisiaj z Emmą zwiedzić szkołę i odwiedzić ojca pani.

LEONIA.

Ojcu to sprawi prawdziwą przyjemność. Lecz nie rozumiem...

ARTUR (przerywa).

Pani, która jesteś tak dobra dla wszystkich, dla nas wyjątkowo jesteś niesprawiedliwą. Jesteś pani większą arystokratką od mojej ciotki. Nie powinniśmy zapominać, że przesądy, w których się rodzimy i żyjemy, nie dadzą się wykorzenić w jednej chwili. A jednak my ustępujemy, a pani tego nie chcesz uznać.

LEONIA.

Nie chcę... Doprawdy panie hrabio nie widzę, w czem się objawia ta moja niechęć.

ARTUR.

Chociażby i w tych jej słowach... Lecz pójdźmy i dalej. Kiedy ojciec pani jest u nas prawie codziennym gościem, kiedy tyle razy Emma była tu z nami, pani nie odwidziłaś nas dotąd. Lecz przypuściwszy, że do tej chwili mogłaś się pani tłumaczyć niechęcią mojej ciotki, dzisiaj i to usunięte... A jednak panno Leonio (bierze ją za rękę) widzę iż i nadal nie chcesz zmienić swego postępowania... Widzisz pani, mówię otwarcie, szczerze... Dlaczegóż nie chcesz mych słów rozumieć?...

LEONIA.

Lecz panie hrabio...

ARTUR.

Żadnych wymówek... bo inaczej poskarżę się ojcu pani. Żegnam więc panią pewny, że zgoda zupełna, zakończy tę małą wojnę podjazdową. Do widzenia, za chwilę (wybiega furtką nieuważając Karola).

KAROL (chmurny).

Czego ten człowiek tak się natrąca?

LEONIA.

Natrąca?...

KAROL.

Bronisz go?...

LEONIA.

Naturalnie muszę bronić od niesłusznego zarzutu. Kto bowiem jest grzecznym, nie można go nazywać natrętem. Wiesz zresztą dobrze, jakim jest dla ojca — ile ludziom dobrego czyni.

KAROL.

Zapewne... Lecz co innego ojciec...

LEONIA (trochę niecierpliwie).

Mój Karolu, nie mogę mu przecież zakazać by tu przychodził. U nich zaś nie byłam dotąd.

KAROL.

Przyznam ci się, że mnie to dziwi. Bo, czy on tu, czy ty tam na jedno wyjdzie.

LEONIA.

Karolu!...

Scena IV.

Ci sami, SZTORC (wchodzi furtką)

LEONIA (spostrzegając Sztorca).

Lecz cóż to?... Pan tutaj?

SZTORC (kłaniając się).

Panienka się dziwi, że karczma przybyła do szkoły... Nu, dobry to znak.

KAROL (do Leoni).

Ale ty nie pójdziesz do dworu... prawda?...

LEONIA (patrzy na Karola a mówi do Sztorca).

Czy pan ma jaki interes do mego ojca?

SZTORC.

Nu... wam się zdaje, że żyd nie ma już nic innego na celu jak interes „Geschäft“. Ja przyszedł powiedzieć coś panience.

LEONIA.

Mnie... Słucham więc (wskazuje mu krzesło obok ławki na której siada) (Karol chodzi niespokojny).

SZTORC.

Dziękuję panience. Mogę postać bo historya krótka. Nu powiem prawdę, był ja jakiś czas zły na ojca... na

profesora, bo namawiał chłopów ażeby nie pili. Nu, ale teraz, kiedy pan hrabia zniżył czynsz od propinacyi, co mnie tam do tego, niech nie piją. Nu, ale wie panienka oni teraz właśnie bardzo piją. Siedzą ciągle w karczmie i wyrzekają na ojca (mówi ciszej) Powiadają, że przystał do dworu, że nie chcą go już na profesora. — Nu — ja nie wiem co jeszcze nie wygadują.

LEONIA.

Czyż to być może... Lecz cóż by mogli mówić jeszcze gorszego?...

SZTORC (oglądając się na Karola).

Nu, mam mówić?

LEONIA.

Przecież pan wiesz...

SZTORC.

Nu, właśnie, że on się ma żenić z panienką...

LEONIA.

Lecz... Boże, czegoż się dowiem!...

KAROL (przystępując)

Leonio, co to?...

SZTORC.

Nu co?... Nic...

LEONIA.

Mów pan, między nami nie ma tajemnic.

SZTORC.

Nu — jakby to powiedzieć?... Nu... oni się wybierają tu przyjść sami. Niech panienka ostrzeże ojca... Nu... a co oni tam jeszcze mówią... (nachyła się nagle ku Leoni i mówi do ucha) Nu, że hrabia chodzi tu nie dla profesora!...

LEONIA (wstając).

Wielki Boże!...

KAROL.

Leonio!... Przeklęty żydzie, coś wyrzekł!...

LEONIA.

Karolu!... To człowiek uczciwy. Panie, dziękuję ci całem sercem.

SZTORC.

Nu — nie ma za co... Teraz pójdę, może ich jak udobrucham, ale na wszelki przypadek, dobrze, że panienka wie o tem (kłania się) Nu a pan niech nie będzie taki prędki. Żyd czasem jest także człowiekiem (odchodzi furtką).

KAROL.

Co on ci powiedział?

LEONIA.

Ach Karolu, co za straszny cios dla mego ojca. Chłopi, posądzają go, iż się związał z dworem przeciw nim, chcą go odsunąć. A... więc za tyloletnią pracę, poświęcenie bez granic, taka go czeka nagroda... Boże... ojciec tego nie przeżyje.

KAROL.

Przeklęte chamy!... Lecz pójdę do nich i wyperswaduję im ten piękny zamiar, ale pałką!... Bo w ten tylko sposób można do nich skutecznie przemawiać.

LEONIA.

Karolu, co za wyrażenia!

KAROL.

Widząc cię tak wzburzoną, zmartwioną przez tych... czyż mogę słów dobierać... Pójdę...

LEONIA.

Lecz na miłość Boga, nie z takim zamiarem. Pójdź do nich, lecz raczej... Lecz nie... nie... Zaklinam cię nie idź tam...

KAROL.

Dla czego?...

LEONIA (biorąc go za rękę).

Proszę cię o to... Nie... nie chcę... Na twoją miłość... Boże, nie idź tam...

KAROL.

Ależ Leonio... Pójdę się tylko dowiedzieć, może żyd skłamał... Puść mnie!...

LEONIA.

Nie... nie... Oni pijani... oni mogą... aa... Boże (n. s.) On się tam dowie wszystkiego!...

KAROL.

Ależ to dziecińśtwo. Chociaż pijani wiedzą dobrze jak do kogo mówić.

LEONIA.

(n. s.) Boże, co począć... (głośno) Nie, raczej tu pozostań. Słyszałeś że żyd mówił iż mają przyjść... boję się o ojca!...

KAROL.

Właśnie mi o to idzie by ich tu niedopuścić... Leonio... ależ to dziecińśtwo... Puść mnie!... (wyrywa rękę i wybiega furtką).

LEONIA (sama).

Poszedł!... ażeby usłyszeć słowa „hrabia tam chodzi nie dla profesora... „Aaa... więc dla kogoż... dla jego córki! (po chwili) O, ojcze, taki cios, spada na twą biedną głowę... Lecz Boże wielki, czyż ludzie ci mieli by być pozbawieni zupełnie serca?... Nie... nie... to niemożebne!... ten człowiek skłamał!... (po chwili) Skłamał?... a jednak hrabia tu przychodzi... był wczoraj, dziś... codzień... i zdaje mi się... że... a!... co za myśl szalona!... Ja miałabym być jego celem!... Nie!... to człowiek szlachetny, z sercem... zresztą ma poślubić Emmę... on ją kocha... Nie... jego tu sprowadza najszczersza chęć czynienia dobrego, a oni mnie posądzają... Posądzają?... Gdy ludzie są bardzo, bardzo nieszczęśliwi, posądzają nawet Boga, że nie ma nad nimi litości, a nie mieliby posądzać pana, jaki stosunek go wiąże z córką biednego człowieka!... Poeto... ileż w twych słowach prawdy... „Głuche cierpiących jęki... śmiech ludzki nieszczery, są hymnem tego świata.“ (zamyśla się).

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z drukarni narodowej W. Manieckiego.